

ZESZYT 8.

11 Kwiecień.

ŚWIATŁO

ROK I

1920.



Dojrzewanie do swobody.



Legenda wschodnia głosi o pewnym człowieku, który życie całe stawił na ciągłej wędrówce po świecie, w poszukiwaniu zakątka na ziemi, gdzie lud żyje w mniejszej nędzy, w mniejszym mżole i trudzie. I człowiek ów przeszedł świat cały w szereg i wzdłuż, a wszędzie widział tylko ludzi

w kajdanach i bezbrzeżną krzywdę i potworną zbrodnię. Z krwawymi od ciągłego patrzenia oczyma i przesmutną zbolaną duszą, zaczął się wreszcie do jaskini jakiejś, nie chcąc już widzieć ziemi tej, przesiąkniętej łzami i krzywdą ludzką.

I oto podczas pewnej bezsennej nocy dojrzał, przez szczelinę, niebo skrząciami gwiazdami usiane i zrozumiał wówczas, że „świat to przebiegła budowla krzywdy, uświęconych tradycją występków, elementarne, wielkie, zbiorowe cierpienie tłumów” — a każda gwiazda to przesłanka nadziei, czynu, wyzwajającej myśli ludzkiej.

W istocie „zło dopełnia już miary” i tylko przewodnia gwiazda wielkiej Idei Socjalistycznej, od której „bojowem echem drży ziemia” cała, każe nam wytrwać „przez krew i śmierć, przez ruiny i mogiły, w tej walce z piekłem Ziemi w imię nieba, które na ziemię zstąpi”... A zstąpić musi, odkąd w szerokie masy ludowe coraz głębiej wnika hasło: „Wyzwolenie klasy robotniczej musi być własnym jej dziełem”.

Ibsen powiada: „aby uleczyć wszystkie rany i trądy społeczne trzeba wnieść w życie państwowe element szlachectwa charakteru, szlachectwa woli i myślenia. To jedynie zdoła nas uczynić prawdziwie wolnymi. A szlachectwo to, które na lud nasz spłynie, z dwu stron przyjdzie. Przyjdzie ku nam od naszych kobiet i od naszych robotników”. Albowiem właśnie w robotniku i w kobiecie, w tej wiecznej „Odrodzicielce ludzkości” tkwi cudny materiał na nową ludzkość, tkwi zarodek najdoskonalszego typu przyszłego człowieka.

Ryszard Wagner, jeden z największych twórców piękna, w dziele swem: Sztuka a rewolucja, nazywa istotę proletariackiego ruchu społecznego, „pędem stanu roboczego ku artystycznemu człowieczeństwu, ku swobodnej dojrzałości ludzkiej”. Przeżywamy, być może, obecnie jeden z najcięższych etapów owej epoki „dojrzenia do swobody”. Nędza naokół coraz ohydniejsza i męka i potworna zbrodnia, będąca właśnie rezultatem nędzy. A ogromna armia proletariatu, bądź to pozbawiona pracy, bądź też wprzęgnięta w jarzmo pracy ponad siły, do której zmusza ją bezrozumna, poniżająca tyranja nędzy, nie żyje, lecz istnieje tylko, snuje się obok życia, dzięki właśnie tej przykryj konieczności zaprzędawania życia, która gnębi, przytłumia, okrada z czasu, siły, energii i zdolności.

Kto z proletariatu żyje dzisiaj własnym, pełnym życiem? Kogo nie dławi ta szara, powszednia, po-

tworna codzienność, która staje się grobem najświętszych naszych pragnień i dążeń?

Któż z nas nie czuje w imię słów wieszczka, że: „Duch się w każdym poniewiera, że czasami dech zapiera”, — kto nie czuje, że życie może wyniszczyć ludzi tak samo jak śmierć, tylko że środki, którym się życie posługuje, są jeszcze stokroć okropniejsze. Te nieludzkie warunki, które oddają masy ludu roboczego w niewolę kapitalizmu sprawiają, że dzisiaj ludzkość cała wyrasta „z tego co ją boli”.

Dzięki temu też narodziła się wielka Idea naszej epoki, „Idea Socjalizmu”, której wytyczną jest z pod męki ciał wydobyć ducha ludzkiego, osadzić wśród ludzkiej wolności i prawo do szczęścia, zapewnić wszystkim całkowitą możliwość używania rozkoszy cywilizacji w myśli Manifestu: „Swobodny rozwój każdego będzie warunkiem koniecznym wolnego rozwoju wszystkich”. We wstępie do krytyki Heglowskiej filozofii prawa Marks uznaje tylko swą teorię wyzwolenia, która za „najwyższą istotę dla człowieka objawia samego człowieka”. Wedle Marksa w sprawie wyzwolenia człowieka, „filozofia odgrywa rolę głowy, proletariatu — rolę serca”, zadaniem proletariatu jest przeto przeprowadzić filozofję w rzeczywistość. „Własne uspołecznienie ludzi”, jak powiada Engels, narzucane im dotąd przez naturę i historję, staje się teraz wolnym ich czynem”.

I dlatego też ci wszyscy, którzy nie tylko uznają konieczność Odrodzenia Ludzkości, lecz w nią niezłomnie wierzą, ci wszyscy, którzy w myśl słów Sieroszewskiego: „Nie mogą żyć bez tego, choćby dalekiego jutra, które choć oczy nie ujrzą, ale które wciąż dusza czuć musi”... — ci wszyscy muszą pracować gorliwie nad usunięciem owego zwiędłego listowia”, które dziś jeszcze przykrywa i przytłumia kiełkujące zarodki nowego, bujnego życia. Ci wszyscy stanąć muszą, „w służbie idei do walki o prawdę, o sprawiedliwość, o dzisiaj i jutro ludu roboczego, o pomyślność i szczęście całej ludzkości”.

Nie należy zaś zapominać o obowiązkach, jakie owa epoka „dojrzenia do swobody” nakłada na każdego człowieka z osobna, nie należy zapominać, że treść życia każdy nadaje sam i że „najcięższej miarą odległości życia od ideału, to miara niemocy naszej”.

Obowiązkiem każdego jest przeto stać na straży owego wiecznego buntu własnej duszy, owego Faustowskiej, wiecznej tęsknoty za doskonałością, baczyć na to, by ni „huragany i wichry” — ni powszedniość szara, nie zdołały wytargać z nas mocy życiowej, lecz raczej ją spotęgować — by owa siła co „skrzydła rozwija” silniejszą była od owej „co skrzydła pęta”.

Albowiem chodzi właśnie o to, by niestrudzenie a nieustannie „Więzy rwać”, aż zapanuje dla wszystkich:

Żywota Prawo!!!

Antonina Szerer.

POEZJE.

Z cyklu „WIDMA“.

PORTRET.

Stoi pod jarzmem wieków zapadłe dworzyszczce,
gdzle na ciemność mdrzewia siwe mchy się kładą,
a w wielkich mrocznych salach tajemną balladą
świeci próchno portretów nad przeszłości zgliszczce.

A na podwórzu wicher w pniach stuletnich świszczce
i w tęcze szyb łopoczce, niby kruków stado...

Czyliż cię, o kochanko, samotną i bladą,
w chłodny wieczór jesienny na nowo odzyszczę?

Ach, nie! Ty, na portrecie uśmiechnięta cudnie,
w perłach na białej szyi, w kwiaty uwieńczona,
z ram złotych nie zestąpisz w weselne południe,
by mnie opleść w twe gibkie, śnieżyste ramiona...

Ach, nie! zostaniesz taką wabiącą na wieki —
i ja przed twym portretem, szalenciec daleki...

STUDNIA.

Zielona w studni woda, nieczerpiana woda,
oślizgłe cembrowiny w ślepią schodzą głębie...
Umaraś studnio, dziewczkę bielszą nad gołębie
ukrywszy w ciemnym wnętrzu z cichym pluskiem:
[szkoda.

Nocą, gdy tajemniczość księżycowi poda
usta do pocałunków — na studziennym zrębie
wąż leży srebrnołuski w dziwnych skręceń kłębie,—
lśni mu w oczach z topazu przedśmiertna pogoda.

Gdy złotoczołe gwiazdy świt gasić poczyna,
gdy go noc o powolność prosi nadaremnie —
senny wąż światłołuski zwój ciała rozgina,

z cichym pluskiem się sunie w martwej studni
[ciemnie

A kiedy zórz różanych nadchodzi godzina,
zielona woda w studni znowu lśni tajemnie.

OCZY.

Widzisz?... Patrzą się, patrzą! przeraźliwe oczy!
Powieki nieruchome, a źrenice kołem
toczą się pod tym białym w wieńcu loków czołem...
Gdziekolwiek pójdziem, wszędzie i ten wzrok się
[toczy...

Była piękną w koronie złocistych warkoczy...
Kto ją ujrzał, zwał kwieciami, gwiazdą i aniołem.
Zdradziła męża — kazał posypać popiołem
głowę i włosiennicę na jej kształt uroczy

nawlec i wieść katowi na rynek przed zgrają —
a jej kochanka rozsiec... Z rozpaczny umarła...
I codzien o północy żywa w oczach staje...

Temi oczami z męża sok życia wydarła...
Patrząc, zgasnął... Ach, widzisz! uśmiechać się zdaje
i nieść ku ustom różę, co się wpół zatarła.

CHART.

To dwór dziwów... Zegary stają bez przyczyny,
by o północy senne zacząć tykotanie...
czyjeś suknie szeleszczą, raptem szmer ustanie...
zgaśnie świeca, w twarz wioną różę i jaśminy...

Lecz największym z przerażeń widmowej godziny
jest chart biały. Przerywa czuwające spanie
u nóg pani... (ten portret na północnej ścianie:
kasztelanka, spowita w perły i blandyny,
u nóg chart, a na dłoni nastrzępiony sokół...
ponoć zamurowana w ścianie kasztelanka...)

Chart wstaje, uchem strzyże, spoziera naokół,
potem biegnie z komnaty... czeka u krużganka...
wraca, wzdłuż ściany węszy... lęk mu ślepią okuł
w nieruchomość... Tak błądzi do samego ranka...

Zofja Wojnarowska.



WYSPA ZAPOMNIENIA.



6)

ieraz stawał, jak wryty. Zdumiewało go byle co: badał pilnie dziwne złamanie gałęzi, bo zdawała się być uciętą nożem. Ciężki kamień, świeżo ruszony z miejsca, nie mógł się sam dźwignąć? A oto zgnieciona trawa! Wszędzie podejrzewał ślady człowieka. Czyż-

by naprawdę tęsknił?

Gdzie tam! On by szukał ludzi, raz wyrwawszy się z pośród nich? Niech przepadną na zawsze wszyscy co do jednego! Niech zczęźnie cały świat!

Niczego nie pragnął poza tem co miał. Jednak widmo świata prześladowało go jeszcze do czasu. Czepiali go się ludzie, o których z taką rozkoszą zapominał. Przychodzili w snach, w przeróżnych złudzeniach.

Jakże zupełne byłoby jego szczęście, gdyby wiedział niezłomnie, że nigdy nikt nie wyląduje na jego brzegu. Gdyby wiedział przynajmniej, że w promieniu stu mil wokół niema drugiej czy trzeciej podobnej wyspy. Że przynajmniej niezmiernie od niego daleko do ludzi i do ludzkich dróg.

Z najwyższego szczytu potoczył okiem po ogromnym przestworzu! Wówczas by wiedział.

A wiedzieć chciał. Jeszcze w nim żyły potężne ludzkie dążenia — ów niepokój chcenia i same układały się mimowiednie na coś zamiary. Odślaniał się po za wszystkim, co było teraz, obraz jakiegoś dalszego życia, dalekiego od wyspy i od jej błogiego, tymczasowego szczęścia. Wszak musi kiedyś, jakoś opuścić te brzegi. Wszak niepodobna żeby przeżył tutaj aż do samego końca? Byłoby to może przenajcudniej i najmądrzej, ale życie oduczyło go złudzeń i wiary w trwałość spokoju i szczęścia.

Szczyt ciągnął go ku sobie i obiecywał. Spowity w chmury, uwieniczony koroną obłoków, połykający w słońcu różową skałą, czarny i tajemniczy nocą, kiedy świetne gwiazdy dotykały z kolei jego wierzchołka — zawsze i coraz inaczej pociągał ku sobie oczy i kusił.

Ciągnęło się tak długo, trwało bez przerwy, dolegało. Ale do gór jedyną drogą była rzeka. Droga daleka, mozolna. Dużo trzeba by było ze sobą zabierać, a łódź zepsuta, trwała się już dawno z łańcucha, potłukła się o kamienie. Dużo, dużo wymagała roboty. A Jorg już zupełnie odwykł od pracy.

Wiele miesięcy marudził, postanawiał co wieczór i co rano odkładał lub udawał, że zapomina o szczycie.

Nazwa zaś głównego szczytu była „Który widzi wszystko”. Ten na prawo, kopulasty, rozłożysty — to „Matka”, ten na lewo o dwóch garbach — „Brat i Siostra”.

Aż pewnej nocy nawiedziło go zgrozą przejmujące widziadło. Oto był już na swoim szczycie. Drapał się ku wierzchołkowi ostatkiem sił, dźwigając na plecach straszny ciężar. Zaledwie kilka minut dzieliło go od kresu. Pchała go i ciągnęła, pomagając, potężnie namiętna ciekawość. Obezwładniała i spychała go z powrotem straszliwa zgroza.

Szeptala:

— Nie idź! Zawracaj! Wracaj — bo dalej sam nie wiesz, co zobaczysz...

— A co?

— Lepiej nie pytaj...

— Ja się niczego nie boję!

— Jednego się wszakże boisz!

Te słowa spychały go, strącały coraz niżej, aż zerwał się z gładkiej, stromej pochyłości i poleciał w dół.

Obudził się i doczekawszy świtu, naostrzył siekierę zardzewiałą od roku, odszukał świdy i gwoździe i zabrał się do roboty koło łodzi.

Pracował codziennie po parę godzin, póki tylko dozwalał upał. Wkrótce naprawił i wzmocnił łódkę i zajął się przygotowaniem zapasów na drogę. Postanowił zabrać broń i wszystkie narzędzia, wiele desek i cały zapas odzienia, spodziewał się bowiem zastać na wyżynie klimat znacznie ostrzejszy.

Praca szła mu raźnie, wesoło. Zdawało mu się teraz, że cały czas, który spędził na wybrzeżu, był jeno wstępem do jakiegoś nowego, już prawdziwszego życia. Minał półsenny, rozkoszny wypoczynek, nastala pora czegoś innego. Pojęcia nie miał, na czym będzie polegać ta odmiana na nowych miejscach? Nie zgadywał nawet, co tam zastanie. To się samo wyjaśni.

Wyprawa w nieznane strony radowała go jak dziecko, Zapowiadał sobie w niej tysiąc niesłychanych rzeczy, niespodziewane odkrycia, przygody. Dotrze do jakiejś tajemnicy tej wyspy, z wysokości szczytu odśloni się olbrzymi nieznany świat. Któż to wie, czy nie żyje tam gdzieś potężny nieznany lud ze swoją świetną kulturą, wywodzącą się z prawieków? Kto mu zaręczy, że nie omylili się uczeni, którzy mierzyli ziemię i kreślili jej kartę? A oto on obaczy...

Olbrzymie, przepaściste tajemnice zawiera w sobie świat. Nie wszystko jeszcze ujęła i spisała ml-

zerna ludzka wiedza. W pomiarach kuli ziemskiej w dogmatach matematyki, w grubych narzędziach astronomji mogą tkwić błędy, które zakłuły człowieka w ciasne granice, odebrały mu nadzieję na wszystko co niesłychane.

Co roku giną bez śladu okręty — toną. Nie wszystkie toną! Jeden na sto, jeden na tysiąc pędzonych burzą statków może dotrzeć do jakowegoś kresu, skąd niema powrotu. Skąd wreszcie nie ze- chciał wracać do ojczyzny żaden z tych, co się tam raz dostali. Tam wszystko inne, tam raj na ziemi — tam wielka tajemnica kuli ziemskiej.

W to wierzą ciemni, przesądni żeglarze, przy- tem się upierają heretycy nauki, wypędzani ze wszyst- kich akademji świata, jako obłąkani.

Jorg śnił swoją baśń o tajemnicy i pracował ochoczo. Śpiewał, rozmawiał z ulubionemi drzewa- mi, ze swoją rzeką, opowiadał o przyszłej podróży wiernym towarzyszom swoim: miłym, małym kozioł- kom, które od początku jego pobytu na wyspie pła- tały się wciąż koło niego całym stadkiem, chodziły za nim na wszystkie wyprawy i powracały z nim razem.

Żał mu ich było opuszczać. Przyzwyczał się do nich, znał każdego naturę, narowy i zalety, każdy miał nadane imię, na które nastawiał uszka i przy- biegał, jak piesek do ręki. Były to nieraz psotne szkodniki, chwilami zawadzały, ale ozdabiały samo- tność, radowały duszę swoją niezmienną wesołością, nieustannemi harcami i zabawą, było przynajmniej do kogo się odezwać z ludzkim słowem i było się z kim zabawić.

Żał mu było znajomego obsiedziałego miejsca i gajów, pięknych palm i posepnego jak gotycka nawa korytarza rzeki i pobliza oceanu, jego potężne- go, głuchego głosu, który nie milkł nigdy tam na rafach.

Ale nieprzeparcie i potężnie ciągnęła go ta- jemnicza głębia lądu, obiecywał i rozpałał wyobra- żnię daleki szczyt. Wypoczęta, zleniwiała dusza go- towa była na nowe wydarzenia. Uzbierał się w nim ogrom niespokojnych sił i domagał się upustu.

Andrzej Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Drzeworyty Władysława Skoczylasa.

„Hej, idę w las, piórko mi się migoce,
„Hej, idę w las, dudni ziemia kakroce,
„Ka zawinę siekirecką wnet się we krwi ubroce,
„Ka wywinem ciuparecką krew mi z pod nóg bulgoce“.

(Kazimierz Tetmajer.)

Piosnka ta to „marsz zbójnicki“.

Brzmi w niej nadmiar tęgich sił młodzień- czych, rozpęd swobodnych, niczem nie ujarzmio- nych mocy i radosna pycha migocącego się na cza- pie pawiego pióra.

Słysząc w niej potężne dudnienie ziemi pod stopami idących zbójników, widać rozmach walki i buchającą strumieniami z pod razów ciupagi, szyb- kich jak myśl, świeżą, gorącą krew.

W piosence, w gadce niesionej z ust do ust, w starych obrazach, na szkle malowanych, została nam przekazana tradycja zbójowania na Skalnem Podhalu.

Tradycja ta pobudziła twórczość wielu artys- tów — czerpali z niej literaci, poeci i malarze.

Jak silny jest wpływ tej twórczości ludowej na niektórych artystów, jak ta twórczość może zapład- niać wyobraźnię i być punktem wyjścia dla dzieł nowych, świadczą drzeworyty Władysława Skocz- ylasa. Do wielu z tych drzeworytów artysta zaczerp- nął temat, a czasem nawet rozmieszczenie postaci na płaszczyźnie obrazu i ich wzajemny do siebie stosunek, ze starych góralskich obrazów. Nie zmie-

sza to jednak wartości jego artystycznego wysiłku i oryginalności jego pracy.

Podejmowanie tematu już raz w sztuce przez kogoś opracowanego twórczo, nie świadczy o na- śladownictwie. Dopiero to, co się z tego tematu uczyniło, ilość i jakość pierwiastków oryginalnych, zaklętych przez formę w ducha dzieła, czyni obraz mniej lub więcej oryginalnym. W czasach odrodze- nia sztuk we Włoszech, które zaczęło się około po- łowy 13 wieku, a trwało do wieku 17, też same te- maty podejmowane były przez różnych artystów wiele razy w ciągu wieków w sposób podobny, do tego stopnia, że można stwierdzić rozwój i podno- szenie na coraz wyższy poziom danego tematu, do- chodzącego wreszcie do swego najpotężniejszego wyrazu, po którym zaczyna się jego upadek i roz- kład.

Legenda tatrzańskich zbójników znalazła w Sko- czylasie dobrego przedstawiciela.

Pewien archaizm, oraz surowość form, dosko- nale się nadają do wyrażenia legendarnego, minio- nego świata.

Technika drzeworytnicza Skoczylasa oparta jest na najwłaściwszem użytkowaniu narzędzia i mater- jału. Dawni drzeworytnicy, wraz ze słynnym Düre- rem (1471—1528) naśladowali w drzeworycie kreskę ołówka lub pióra co było odwróceniem właściwości narzędzia, którym jest rylec. Kreska bowiem pociąg-

nięta ryłcem na płycie drzeworytniczej drukuje się, jako linja biała.

Żeby więc wydobyć rysunek linją czarną, trzeba z dwóch stron kreski narysowanej ołówkiem na drzewie, wyryć wgłębienia. Skoczylas słusznie zrywa ze stylem Dürera, wydobywając swój rysunek kreską białą, gdyż ona leży we właściwości ryłca tak, jak kreska czarna jest właściwością akwaforty, miedziorytu i rysunku ołówkiem i piórem. Stąd powstaje odrębny styl drzeworytów Skoczylasa.

Wydobywając białą kreską na czarnym tle swe obrazy, Skoczylas daje nam najgwałtowniejsze opozycje tonów. Od zupełnej, głębokiej czerni aż do białości, która u Skoczylasa gra bardzo silnie. Formę Skoczylas traktuje wypukło—plastykę wydobywa zapomocą półtonów kreskowych. Oczywiście nie jest to plastyka, pochodząca z światłocienia, opływającego miękko formy, lecz raczej z przekonania teoretycznego, że dla wydobywania plastyki z jednej strony należy uczynić cień, z drugiej światło i połączyć je szarą płaszczyzną półtonu. Cieniowanie to nie służy więc u Skoczylasa w jego drzeworytach dla dania atmosfery otaczającej przedmioty, ani dla okazania ich różnoplaności, wskutek której jedne tona w głębi, a inne występują na plan pierwszy, jak to zobaczymy w jego akwafortach. W drzeworytach tych pod względem tonu wszystko utrzymane jest na płaszczyźnie pierwszego planu. Jeżeli Skoczylas czasem daje w głębi krajobraz, to dal jego wydoby-

ta jest tylko w linii. W tonach niema zupełnie dążenia do dania perspektywy powietrznej.

Najczęściej postaci Skoczylasa związane są z tłem, mającem czysto ornamentacyjny charakter: łuk obłoków, błyszczących na tle czarnej głębi, sylwety płaskie, czarne świerków, skłębione fale dymu, buchającego z płomieniska, czasem z rozmysłem poukładane gałązki kwiatów, wypełniają tło drzeworytów Skoczylasa. Wśród tych rzeczy, przykuwających naszą uwagę swoją, aż prawie brutalną surowością form, których zarysy mają w sobie jakąś dziką, pierwotną cierpkość, uderza wdziękiem i polem ruchu drzeworyt zatytułowany „Taniec.“ Dwaj zbójnicy, o ruchach pełnych gracji i powiewności, tańczą ponad ogniskiem, trzeci z puharkiem w dłoni siedzi, wymachując ciupareczką, z boku zarysowany jest pies. Całość związana interesująco z kłębiącymi zwojami dymu i czarną resztą obrazu.

Na drzeworycie pod tytułem „Zniszczenie“, Skoczylas ukazuje nam demoniczną nagą postać w ruchu, mającym dużo gwałtowności i siły, rozmachując się mieczem ognistym. Postać ta, zarysowuje się sylwetą ogromną na tle płomienistych kłębow pożaru, czy też wybuchu wulkanu. Drzeworyt ten ma w sobie dużo grozy — naga postać demona zniszczenia narysowana jest z energją, siłą i plastyką.

Odradzająca się i wciąż potężniejszą grafika polska ma w Skoczylasie pełnego żywotności i oryginalności przedstawiciela.

Jan R.

POKŁOSIE POLITYCZNE.



Francuski prezydent rady ministrów Millerand, wygłosił w ostatnich dniach marca wielką mowę programową w odpowiedzi na interpelację socjalisty tow. Marcela Cachin'a. Cachin, redaktor naczelnego organu partyjnego l'Humanité, zajmuje w partji wybit-

ne stanowisko, jako jeden z przewódców lewego środka. Jeździł w roku 1917 do Rosji, aby tam razem z tow. Ernest Lafont przyglądać się rewolucji rosyjskiej. Wrócili obaj „oczarowani“, zahypnotyzowani wszystkiem, co widzieli za rządów Kiereńskiego. Stali się wielbicielami chłopu rosyjskiego, robotnika petersburskiego, nastrojów mistyczno-rewolucyjnych, których nie znali, których istnienia obaj Francuzi o gorących temperamentach i szlachetnych sercach ale jednocześnie o zimnych bardzo umysłach, nie podejrzewali, nie widząc ich we Francji. Rewolucja podówczas nie była jeszcze bolszewicka. Była dziwna, uroczysta, często przybierała poprostu religijne w swoim patosie i napięciu akcenty. Ludzie

chodzili pijani szczęściem radosnem, nie umiając opanować wzruszenia, rzucali się sobie w objęcia i często płakali. Trwało to niedługo ale obaj socjaliści francuscy przejęli się tym nastrojem. Zdawało im się, że dożyli jakiejś dziwnej, tajemniczej przemiany. W nich samych odzywały się szepty wspomnień może dzieciństwa, może pierwszej komunji, może pierwszych objawów ducha socjalnego. Piszący te słowa był świadkiem w Paryżu pewnego dnia sierpniowego roku 1917, nasamprzód o rannej godzinie na partyjnym francuskim zjeździe, a później po południu w Izbie Deputowanych, jak Marcel Cachin zdawał sprawę ze swoich wrażeń rosyjskich. W Izbie szefem rządu był podówczas stary senator Ribot — nikt nie rozumiał jego akcentów. W loży dziennikarskiej Francuzi drwili na głos z „warjata“ i tylko siedzący obok mnie towarzysz szwedzki zapatrzony i zasłuchany szeptał: „Ibsen zrobiłby z tego sztukę!“.

Cachin od tej pory nieraz mówił i pisał o rewolucji rosyjskiej. Nie jest on wcale „bolszewik“ nawet w tem, mało niebezpiecznem znaczeniu, w ja-

kiem hołdował nastrojom „bolszewickim“ Jean Longuet (przed wyborami listopadowymi 1919 roku) albo hołdują dziś jeszcze Lorient albo Frossard. Jego linja jest linją centrową z pewnem przesunięciem w lewo, zawsze owianą wiarą w posłannictwo kultury i miłością do kultury, do posłannictwa Francji. Jest to profesor z zawodu, do niedawna uprawianego, bardzo tęgi publicysta, który codzień pisze swój artykuł polityczny do dziennika partyjnego na tem samym miejscu, na którym dawniej pisywał swoje znakomite, czarujące, niekiedy genialne artykułiki codzienne niezapomniany wódz i mistrz Jaurés.

Cachin tedy interpelował w przedmiocie polityki zagranicznej Francji. Interpelacja bardzo spokojna, bardzo poważna zbudziła zachwyt na lewicy. Wysłuchiwała jej prawica spokojnie i bardzo uważnie. Cachin chciał wiedzieć, jakie są zamiary rządu w stosunku do Rosji. „Nikt już nie dyskutuje dziś we Francji potrzeby nawiązania stosunków ekonomicznych z Rosją, porozumiewania się z nią, co jest uwerturą do uznania rządu Sowietów. Rumunja (?), Estonja zawierają z nią traktaty. Polska prowadzi układy. Jest do życzenia aby czyniła to z zupełną swobodą. Trzeba do Rosji wysłać inżynierów, techników, kupców. Czego się wahamy? Czy boimy się zarazy? Wszak lord Robert Cecil odpowiedział już niedawno, że niema potrzeby się jej obawiać. Mówca protestuje przeciwko polityce aneksjonistycznej w Turcji a w szczególności w Azji Mniejszej i żąda w imieniu partji zachowania Konstantynopola dla Turcji. Żąda też, aby koalicja nie wtrącała się do spraw niemieckich. Niechaj sobie Niemcy szukają ustroju, jaki uważają dla siebie za najwłaściwszy. Cachin uważa, że rewolucja niemiecka trwa w dalszym ciągu i cieszy się, że sprzymierzeńcy odmówili Berlinowi wysłania wojska do Westfalji i nad Ren dla walki z komunistami niemieckimi. W tem miejscu prawica ujawnia niepokój i Cachin kończy: „moja partja będzie współdziałała przy windykowaniu maximum tego, co można wyciągnąć z Niemiec gwoli pokrycia naszych szkód i strat. Ale jeżeli Francja chce, aby Niemcy zapłaciły trzeba, aby mogły to uczynić. Istnieje jedność ekonomiczna Europy, która nie może być złamana. Trzeba harmonizować ze sobą interesy europejskie. Jeżeli tego nie uczynimy, cywilizacja znajdzie się w niebezpieczeństwie“. (Zwracamy szczególną uwagę na ten ciekawy i bardzo „narodowy“ stosunek lewego socjalisty francuskiego do sprawy odszkodowań niemieckich).

Millerand odpowiada w wielkiej mowie, która wypełniła całe posiedzenie, że aljanci innych, nie ekonomicznych stosunków z Rosją nie nawiążą. Solennie sobie to przyrzekli w styczniu i w lutym r. b. Natomiast nawiązują stosunki ekonomiczne.

Francuski kupiec otrzyma w każdej chwili wiadomości jakich żąda. Ale stosunki dyplomatyczne nawiązać można tylko z krajem, który ma rząd regularny, przedstawicielstwo uznane... (głos woła: „a Watykan zali ma powszechne prawo wyborcze? a jednak staracie się nawiązać z nim stosunki dyplomatyczne!“). Millerand miał wielkie powodzenie. Większość jego poprawiła się. Przesilenie gabinetowe, o którym pisano, zostało zażegnane.

We Włoszech sytuacja ministerjalna poprawiła się. Nitti'emu udało się zdobyć sobie nareszcie większość. Ma przeciwko sobie dwie największe grupy parlamentu: socjalistów i katolików. Socjalistów jest w Izbie Przedstawicieli stu pięćdziesięciu! Bezustanne strajki na południu i na północy półwyspu apenińskiego mają ten skutek przedewszystkiem, że organizują burżuazję dla walki z tak zwaną rewolucją. Na południu wybuchł wielki strajk w Neapolu, na północy strajki rolne objęły całą prowincję bolońską, część Ligurji, część Piemontu. Robotnicy wypędzają ekonomów z wielkich majątków i biorą je w zarząd. To samo zrobili z wielką fabryką tkacką pewnego hrabiego. Nie trwało to długo. Nie mogli podolać ciężarowi władzy i zawiesili umowy spółki. Nitti korzysta z takiej sytuacji i zręczną grą starego parlamentarzysty, zespolił w Izbie wszystkie żywioły reakcji i mieszczańskiego liberalizmu. Podobno, że żywioły te na chwilę zapomniały o niesnaskach swoich wewnętrznych. Mówią, że tylko kościół mógłby dać sobie radę z rozhukanym żywiołem robotniczym... Dlatego liberali zerkają w stronę klerykałów. A organ katolików (Giornale d'Italia) pisze w jednym z ostatnich numerów: „Chwila jest najwyższej powagi. Trzeba to uznać bez zastrzeżeń. I dlatego partja ludowa (katolicka) nie może odmówić pomocy swojej tam, gdzie chodzi o zbawienie, o ratunek kraju“.

Wszędzie strajki! Wielkie, małe, strajki górników, kolejarzy, tkaczy etc. Włosi mają przysłowie: „Cały świat to jeden kraj tylko“. Ze stanowiska ilości i powagi strajków, istotnie stwierdzić należy, że od lat wielu tyłu nie było strajków na świecie co od Nowego Roku 1920. Głęboko zadumani są premjerzy: angielski, francuski, włoski! Co czynić? Nikomu do głowy nie przychodzi stosować represje, zamykać w więzieniu, pozbawiać chleba. Wszyscy prowadzą układy. Cał kompromisu więcej wart niż kilometr strajków. Wszędzie tedy prowadzą się układy. Wszędzie stają do apelu medjatorzy. Pan Millerand wiele zyskał od czasu, jak ofiarował swoje usługi kolejarzom i ich pracobiorcom.

Rajmund Kucharski.



W. SKOCZYŁAS.

ŚPIĄCY RYCERZE.

W. SKOCZYŁAS. ZBÓJNICY Z KOTLICZKIEM.



W. SKOCZYŁAS.

POCHÓD ZE SKARBEM.



W. SKOCZYLAS. JANOSIK Z KOCHANKĄ.



W. SKOCZYLAS. TANIEC.



WŁADYSŁAW SKOCZYLAS.

TANIEC ZBÓJNICKI.

WIEDZA O WSZYSTKIEM.

Drzeworytnictwo w Polsce.



zeszycie piątym „Światła” zamieszczone zostały dwie reprodukcje starych drzeworytów ludowych. Pragnąłbym skorzystać z tej okazji i podzielić się z Czytelnikami „Światła” szczyptą wiadomości z tej dziedziny sztuki w Polsce.

Drzeworytnictwo bezwątpienia poprzedziło początki sztuki drukarskiej, której wynalazcą, jak wiemy, był Jan Gutenberg, rodem z Moguncji (w Niemczech). Założył on w r. 1450 pierwszą drukarnię z ruchomymi drewnianymi czcionkami drukarskimi. Przed tym już sposobem drukarskim odbijano wycięte na desce wizerunki świętych, sceny z życia Chrystusa i t. p. Sztuka ta kwitła po klasztorach, które w owych czasach były jedynymi ośrodkami nauki i sztuk różnych. Z rozwojem sztuki drukarskiej i drzeworytnictwo znalazło nowe zastosowanie. Dotychczasowe miniaturki barwne, któremi zdobione były księgi, ustępują miejsca drzeworytom. W ten sposób rozwinęła się i rozprzestrzeniła po całej Europie kulturalnej sztuka drzeworytnictwa, która i do nas z Niemiec razem ze sztuką drukarską przyszła.

Drzeworytnictwo atoli wymagało zdolnych ryśowników i rytowników, których początkowo nie mieliśmy, przeto pierwsi drukarze krakowscy radzili sobie w ten sposób, że z Norymbergji i Pragi czeskiej sprowadzali gotowe drzeworyty pierwszorzędnych mistrzów tej sztuki zagranicą. Dzięki temu wiele dzieł przełożonych na język polski a wydanych w Krakowie w w. XVI zawiera piękne ilustracje drzeworytnicze obce. W owym czasie książki były rzeczą rzadką i bardzo cenną, drukowano więc przeważnie dzieła święte, przeto i rysunki do tych dzieł musiały być odpowiednie i nie odznaczające się oryginalnością pomysłu, treści i wykonania. Zato w rzeczach poświęconych sprawom lokalnym, narodowym należało korzystać z sił i twórczości miejscowych mistrzów sztuki drzeworytniczej. W dziełach tych więc znajduje wyraz oryginalne drzeworytnictwo polskie. Nie stoi ono jeszcze tak wysoko jak zagraniczne, ale to nas dziwić nie powinno, w tym bowiem czasie sztuka polska wogóle spoczywała jeszcze w kolebce.

W najdawniejszej książce polskiej, która wyszła w Krakowie w r. 1521 p. n. „Rozmowy które myał Krol Salomon mądry z marchołtem grubym a sprawnym, a wssakoż iako o nym powyedaia, barzo zymownym z figurami y zgadkami smyesznymi” znajdujemy ciekawe bardzo drzeworyty krakowskich. Prócz tej książki ukazało się wiele innych wydawnictw pięknie ilustrowanych oryginalnymi drzeworytami polskimi.

Pod koniec w. XVI-go sztuka drzeworytnicza w Polsce dosięga szczytu swego rozwoju. W początkach wieku XVII-go drzeworytnictwo zarówno u nas, jak na Zachodzie powoli poczyna się chylić ku upadkowi, ustępując miejsca nowej sztuce — rytownictwu w miedzi (stąd miedzioryty).

Wprawdzie nie odrazu nowa sztuka wyparła dawną, tem niemniej drzeworytnictwo, jako takie bezpowrotnie straciło swe znaczenie. To też pod koniec XVII i na początku XVIII wieku widzimy już jego prawie całkowity zanik. Drzeworytnictwo wyparte z miast przeniosło się na wieś, gdzie przez długi jeszcze czas wegetowało, zaspakajając potrzeby duchowe mieszkańców wsi i miasteczek. W tym ostatnim wypadku sztuka drzeworytnicza przeistoczyła się w sztukę wyłącznie ludową. Drzeworyty, wykonywane przez artystów wiejskich, przeważnie treści religijnej, będące kopjami różnych dzieł sztuki kościelnej, nie pozbawione są jednak cech specyficznie ludowych i to podnosi ich wartość rzeczową, gdyż pozwala zorientować się w twórczości, poczuciu piękna i smaku artystycznym ludu. Drzeworytnictwo ludowe znane jest z okolic najbliższych Krakowa, z którego przeniosło się na wieś po zastąpieniu drzeworytów przez miedzioryty. Jest to fakt bardzo ważny, świadczy on bowiem wymownie o tem, iż drzeworytnictwa naszego nie można uważać za nasz przemysł oryginalny. Jest to więc jedna z wielu tych pożyczek obcych, które do nas przysły z Zachodu i przyjęły się na naszym gruncie. Prócz krakowskiego, bezwątpienia istniały jeszcze inne środowiska ludowego przemysłu drzeworytniczego, gdzie różnego rodzaju wizerunki świętych i sceny męki Chrystusa było masowo produkowane, a następnie rozwożone i roznoszone po kraju. Drzeworyty ze wsi Zubrucha z pewnością tą drogą tam się dostały. W danym wypadku więc nie mamy do czynienia z przejawami jakiegoś lokalnego przemysłu drzeworytniczego podhalańskiego, lub też tworami domorośłego artysty wiejskiego. Są to bezwątpienia jedne z nielicznych już zabytków dawnego przemysłu ludowego drzeworytniczego, którego siedliskiem były najbliższe okolice Krakowa.

O przemyśle tym znajdujemy bardzo ciekawe informacje we „Wspomnieniach Ambrożego Grabowskiego“^{*)} W tomie drugim, na stronie 376 znajduje się krótka wzmianka pod tytułem „Wzory sztuki chłopskiej“, którą prawie w całości pozwolę sobie przytoczyć:

„Przemysł drzeworytnictwa chłopskiego nie jest nową gałęzią zarobkowania, lecz datuje się od czasów dawnych. We wsi Bobrków, na zachód od Krakowa o mil 3 lub 4, miejscowi włóścianie trudnią się wyrabianiem tak zwanych u ludu wiejskiego kołderek, czyli obiciów papierowych i obrazków świętych, czem w naszych czasach odznacza się włóścianin bobrecki Sagan, a są prócz niego i inni, którzy się tem trudnią.

Taki artysta własną ręką wyroby takowe wytwarza: wyrzyna formę w drzewie, odciski robi za pomocą prostego sposobu, kolorami nawodzi i z rozprzedają obiega jarmarki, targi i odpusty, gdzie tyl-

^{*)} Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego. Wydał St. Estreicher. Z ilustracjami. Kraków, 1909. Tom I i II. Ambroży Grabowski, uczony historyk, zasłużony badacz i wydawca wielu cennych materiałów do historii polskiej. Ur. w r. 1782 w miasteczku Kętach w Galicji, um. w 1868 r. w Krakowie.

ko spodziewa się znaleźć zgromadzenie ludzi. Tak n. p. wieśniak we wsi Bobrku w Rzplitej krakowskiej, nazwiskiem Wojciech Bryndza, drukuje sam drzeworyty. Na formie drewnianej odciska na wilgotnym papierze ręką lub szmatą albo czem podobnem, ale bez pomocy prasy, obrazki świętych wielkości dwuarkuszowej, które potem z sobą zlepia na jeden obrazek. Iluminuje je zaś pendzlem zapomocą patronów różnemi jaskrawemi farbami. Taki obraz z dwu arkuszów kolorowany, sprzedaje przekupień czyli handlarz po groszy 15. Dziś dnia 16 listopada r. 1841 umyślnie puściłem się w pogwarękę z takim handlarzem przed pałacem Spiskim. Ma do sprzedania i czarne odbicia tańsze.

Sztuka rytownicza, aczkolwiek od lat tak dawnych praktykowana pomiędzy ludem krakowskim, żadnego przez lat kilkadziesiąt nie zrobiła postępu, co się wskazuje z dawnych tego rodzaju chłopskich drzeworytów, jakie się u mnie w formacie arkuszym znajdują, a są stosunkowo bardzo stare, bo z początku wieku XVIII.

Przypominam sobie, że widział kawałek papierowej kołderki, czyli obicia na ścianę, na której jest drzeworyt figury jakiejś na koniu, w ubiorze do husarskiego podobnym, z dzidą kozacką w rękę, a miało to być wyobrażenie szanownego męża, jak wskazywał pod nim napis rytowany: *Kośtuśko* (Kościuszko). Zdaje się, że ten drzeworytny wizerunek robiony był w r. 1794, a (o ile pamiętam) znajduje się w bibliotece uniwersyteckiej krakowskiej w zbiorze pod napisem: *Fasciculus tierakovianus*, który to zbiór został tam darowany przez ks. Sebastjana Sierakowskiego, rektora akademii krakowskiej".

Tyle Grabowski o drzeworytnictwie ludowem.

Na zakończenie niniejszego słów kilka o drzeworytach chińskich. Otóż w czasie mego pobytu w Mandżurji północnej bardzo często stykałem się z rysunkami bardzo prymitywnej roboty. Zwiedzając miasto *A-szi-che*, miałem sposobność zaznajomienia się z techniką produkowania tych rysunków. A więc w ciasnej, gwarnej i brudnej uliczce, w jednym ze sklepów, zastałem chińczyka, przygotowującego właś-

nie kliszę drewnianą do odbijania rysunków, których stopy miał już gotowych. Na płaskiej, gładkiej powierzchni deski narysowane były kontury jakiegoś boga. Przestrzeń między zakreślonymi linjami chińczyk starannie wydłubywał, pozostawiając tylko sam kontur. W ten sposób przygotowaną kliszę nasmarowywał tuszem, poczem przyłożywszy do arkusika papieru, odciskał rękami. W rezultacie powstawała na papierze odbitka, rysunek konturowy — płaski, bardzo prosty i prymitywny. Widziałem również rysunki bardzo skomplikowane, nie pozbawione smaku artystycznego. Droższe rysunki zazwyczaj były koloryzowane sposobem zupełnie takim samym, jak to miało miejsce u nas. Jeśli chodzi o treść tych rysunków, to i pod tym względem spostrzegamy pewne analogie z naszymi przeworytami. Mianowicie, drzeworyty chińskie przeważnie przedstawiają różne postacie bogów, genjuszy i dobrych duchów, następnie różne sceny z mitologii chińskiej i podań ludowych.

W sztuce plastycznej chińskiej ludowej, do dziś dnia obowiązują pewne stałe prawa, co nadaje szczególnie piętno wszystkim przejawom twórczości chińskiej. Tradycja bowiem jest tam tak silną, tak potężną, że patrząc na życie chińczyków, doznaje się wrażenia, jakby formy jego wskutek jakichś nieznanym nam przyczyn w pewnym momencie historycznym skamieniały i od wielu, wielu wieków przetrwały do dni naszych. To też drzeworytnictwo chińskie nie tylko że nie zostało zarzucone, jak to miało miejsce u nas, lecz wprost przeciwnie, obserwujemy jego dalszy rozwój, mimo, iż rytowanie w miedzi nie jest obcem chińczykom. Niektóre, bardziej skomplikowane pod względem barw i treści, rysunki reprodukowane są zapomocą kilku klisz; wyklucza to koloryzację ręczną, jako bardziej kosztowną i powolną, a zarazem świadczy o wysokim rozwoju sztuki drzeworytniczej w tym, tak niezmiernie ciekawym kraju. Są to jednak szczegóły, o których nie będę się rozpisywał na tem miejscu.

Ludwik Sawicki.

Wzory pisanek, umieszczone w poprzednim zeszycie „Światła”, zaczerpnięliśmy z materiałów, wydanych przez T-wo „Polska Sztuka Stosowana” w Krakowie.



Ostatnie wypadki w Niemczech.

Walka rewolucji z kontrrewolucją.



Naczelnik rządu zamachowców reakcyjnych, dr. Kapp (rządy swoje sprawował od dnia 13 marca do dn. 17 marca)



Jeden z przywódców socjalistów większości, Ryszard Flischer, aresztowany przez żołnierzy kontrrewolucyjnych.



Jeneral Lüttwitz, przywódca wojsk kontrrewolucyjnych.



Na placu Wilhelma (w Berlinie) żołnierze wywieszają flagę marynarki niemieckiej.



Sprawdzanie paszportów przy zasiekach drucianych na ul. Wilhelma. Z chwilą dojścia reakcjonistów do władzy, wprowadzili oni natychmiast cały system policyjny, zaniechany w Niemczech od czasów zwycięstwa rewolucji listopadowej.



Strajk protestacyjny w Kolonii przeciwko reakcyjnemu rządowi. Rycina przedstawia demonstrację rewolucjonistów, którzy obnoszą powieszony na sznurkach podobny przywódców reakcyjnego zamachu: Kappa i Lüttwitza.



Armata kontrrewolucjonistów na ulicy „Pod Lipami” w Berlinie.



Tłum zgromadzony na placu Lipskim w Berlinie — na wieść o zamachu reakcyjnym Kappa i Lüttwitza.



Przed strajkiem powszechnym w Berlinie. Tłumy oblegają piekarnie.



Mieszkańcy Berlina, pozbawieni wody z powodu strajku powszechnego.

Z pola naszej pracy.



ewne zdziwienie i niedowierzanie widać było, gdy rozpoczynaliśmy pracę wokół wydawania „Światła“.

Co to będzie? — pytano. Artystyczno-literackie pismo? dla robotników i chłopów? kto je będzie czytał? Kto je zrozumie?

Kto poprze?

Nie ulękliśmy się tych głosów. Życie duchowe mas robotniczych bije silnym zwycięskim pulsem. Oko robotnika sięga daleko poza obręb jego fabryki, ulicy czy nawet miasta. Dusza jego rodzi tysiące nowych pytań i tęsknot. Żądza pełni życia rozpiera piersi młodych robotników, szarość, ciasnota dzisiejszego bytu przygniata kark najstarszych nawet.

Jeszcze tylko niema słowa, które powiedziałoby do czego tęskni robotnik, niema drogi na której znalazłby on ukojenie swej tęsknoty.

A treścią tych tajemnych porywów duszy robotniczej jest pragnienie piękna. To, czem mogą żyć duchowo klasy posiadające, a czem żyją ci z nich, którym żądza bogactwa i podłość wyzysku nie złała duszy:—dziedzina sztuki, przedziwna dziedzina twórczości artystycznej — jest dziś treścią tęsknoty ogromnej części świadomie żyjących robotników.

Świadomość politycznych i społecznych zadań klasy robotniczej, tęsknotę tę potęguje i wzmacnia, zaspokojenia jej nie sposób odkładać do chwili zwycięstwa.

W nowy świat Jutra robotnik wejść musi z dużą wzbogaconą poznanie skarbów kultury duchowej ludzkości, by móc ją rozszerzać i wzbogacać.

Pewność tego dała nam siły potrzebne dla pokonania pierwszych przeszkód; — ta sama pewność sprawi, iż „Światło“ ostanie się, mimo bardzo ciężkich warunków wydawniczych i będzie nieść w masę piękno arcyzmu.

Jesteśmy nowi, pierwsze wyorywujemy skiby na niedotkniętej jeszcze glebie. Lecz rola ta pragnie siewu, tęskni za plonem własnym.

Własnego płodu, robotniczego piękna pragnie robotnik, a dajecie mu reprodukcje artystów, których nie rozumie proletarijat — czy to słuszne? pyta jeden z czytelników.

Być może nie jeden z czytelników nie zrozumie dokładnie treści tego lub innego obrazu,

reprodukowanego w „Świetle“. Lecz napewno uderzy go nowość, odrębność obrazu, od pacykarskich, tandentnych oleodruków, na które przeważnie do tej pory miał sposobność patrzeć; napewno uderzy jego wzrok piękno, harmonja linii i kształtów, duszę poruszy nastrój duszy artysty, jego myśl i uczucie zaklęte w dziele sztuki.

Robotnik pragnie dzieł, mówiących o jego życiu, — czemu dajecie obrazy nie mające nic wspólnego z życiem robotniczym? pyta inny.

Nie unikamy tych dzieł, ale też im wyłącznie nie chcemy poświęcać miejsca, bo zadaniem proletariatu jest opanować i przekształcić całe życie, a nie zamknąć się w swoim tylko środowisku. Zresztą są myśli i uczucia wszystkim jednako tłoczące się w piersi.

Piękno przyrody, siła duchowa — fizyczna, piękno ciała ludzkiego, miłość, śmierć i tyle innych zjawisk — wzruszających bólem lub radością ludzkie serce, czyż nie są tematem zrozumiałym dla robotnika?

Nie chcemy dobierać dzieł sztuki specjalnie „dla robotnika“, pragniemy dać możność Czytelnikom naszym poznania sztuki taką, jaką ona jest, w najpiękniejszych jej dziełach.

To samo dotyczy innych działów „Światła“ — unikamy obniżenia poziomu pisma z tych względów, że dany utwór jest nie zupełnie zrozumiały dla przeciętnego czytelnika, lub też, że tendencja jego nie jest wyraźnie robotnicza. Piękno utworu jest decydującym czynnikiem w wyborze umieszczonych w „Świetle“ utworów literackich, czy poetyckich.

Inne traktowanie sprawy uważaliśmy za ubliżające proletariatowi, który pragnie pełni życia, nie zaś przystosowanych, dlań tylko przeznaczonych okrawków.

Główną uwagę zwracamy na sztukę i literaturę, bo te dziedziny życia duchowego w masach robotniczych najbardziej były dotąd zaniedbane. Dlatego też nie chcemy być pismem popularno naukowym. Nie tracąc z pola widzenia całej wagi zadań ogólnych, o kulturalnym rozwoju proletariatu — służąc zadaniom tym całym szeregiem specjalnych działów „Światła“, za najważniejszy swój cel uważamy budzenie i rozwijanie poczucia piękna w masach ludowych, przez uprzystępnienie im prawdziwych dzieł arcyzmu.

G d a ń s k.

Miasto Gdańsk z okolicami zostało wyodrębnione w osobną jednostkę państwową, mającą się rządzić własnymi prawami, ustanowionymi przez przyszły Sejm Ustawodawczy, a tymczasem pozostającą pod zwierzchnictwem komisarza angielskiego, Towera.

Ogrodnej wagi jest dla nas sprawa stosunku Gdańska do Polski.

Polityka Niemiec zdążyła do tego, żeby Polskę raz na zawsze odciąć od Gdańska; Gdańsk zaś bez Polski skazany jest na wegetację i zastój, gdyż główną arterję odżywczą stanowi dlań Wisła, rzeka Polski — i jedynym wielkim terytorjum, które może i musi posiłkować się portem gdańskim, jest Polska. Z drugiej strony nasz kraj, nie posiadając otwartego dostępu do morza, nie mógłby się szybko rozwijać. Pobrzeże morskie, przyznane Polsce przez koalicję, nie nadaje się jako „okno” Polski, na wolny szeroki świat.

Tak więc Gdańsk i Polska są związane potężnymi węzłami ekonomicznej zależności i konieczność ścisłej łączności tego miasta z naszym krajem jest dla każdego bezstronnego człowieka zupełnie widoczną.

Rozumieją to robotnicy gdańscy, nie zaślepieni szowinizmem niemieckim. Nawiązali już oni stosunki osobiste nawet z Polską, przysyłając do Warszawy swą delegację. P. P. S. podejmowała gościnnie delegatów robotników gdańskich i tem jak gdyby zostały nakreślone drogi rozwiązania sprawy całej:

Gdańsk i Polska będą żyły w stosunkach przyjacielskich, a jeśli burżuazja niemiecka lub polska nacjonalizmem swym stosunki te będzie utrudniała, zawiąże się one ponad ich głowami.



W i d o k z G d a ń s k a.

Z TEATRÓW.

TEATR PRASKI.

„Śluby panięskie“ komedia w 5 aktach wierszem. Aleksandra hr. Fredry (ojca). — Jakby się weszło do brzozeowego gaju,—prostota, jasność, powiew poezji i chwała Bogu, choć na chwilę zapomnienie o tem, co jest udręką chwili obecnej, rozterką wewnętrzną duszy i serca. Spokój, pogoda—oto co dają „Śluby panięskie“. Aleksander Fredro umiał rzucać w dusze promienne słońce. Poza znakomitą znajomością charakterów, doskonałą obserwacją, dawał on obraz tego pogodnego życia do którego możemy wżlatywać tylko wspomnieniem. I dlatego, słuchając dzieł wielkiego pisarza doświadczamy wrażenia, jakbyśmy patrzyli na obraz, prześwietlony słońcem o barwach pogodnych i jasnych.

„Śluby panięskie“ to nieskomplikowany konflikt dwóch młodych par, które się serdecznie kochają i dlatego równie serdecznie czują. Ale pierwszy nurt, który przychodzi zawichrzyć powierzchnię ich uczucia, odrazu budzi uświadomienie co do wartości i istoty tego uczucia i naprowadza na drogę zrozumienia i właściwej oceny.

Uroczą żmijka, Klara, zrozumiałwszy, że zamiast młodego i uczuciowego Albina może dostać starego Radosta za

meża, w mlg się orjentuje, że grozi jej utrata szczęścia i zamiana fatalna. W sercu jej powstaje nagły zwrot na korzyść maltretowanego narzeczonego, i jak perły, zerwane ze sznurka pękają obietnice ślubów wiecznego panieństwa. Mamy dwie szczęśliwe, zakochane pary, z którymi cieszyć się możemy choć przez chwilę. Bardzo ładnie zagrał rolę Gustawa p. Dobrowolski. Jego szczerość, uczucie i temperament artystyczny znalazły doskonałe ujście. Był przemiłym trzpiotem ślicznym chłopem, no i nielada sprytnym, skoro umiał ukuć zgrabną intrygę, która lekceważonemu uczuciu dwóch zakochanych nadała obrót szczęśliwy. P. Tatariewicz musiał być płacziwym i sentymentalnym. Ale jest to artysta tak słoneczny, że pod jego cikliwością i łzami kryły się promienie słońca.

Wymarzoną Klarą była p. Tatariewiczówna. Jest to artystka, mająca swój specjalny styl, wykwintna i z dużą kulturą artystyczną. W jej grze było wszystko, co autor chciał włożyć w typ Klary: finezja, złośliwość i uczuciowość. A przytem p. Tatariewiczówna jedna mówi ładnie wiersz. Wszyscy inni artyści mówią zbyt śpiesznie i dlatego ich wiersz nie jest dość wyrazisty. Należałoby popracować nad dykcją.

Halina Wilczyńska.

Książki nadesłane do Redakcji.

Czem Polska przyciągała do siebie. Wł. Weychert-Szymanowska. Wyd. Kom. Obr. Śląska, księgarnia „Ogniwo“, cena 50 fen.

Armja i Naród. J. Swarzeński. Biblioteka „Rządu i Wojska“.

Józef Piłsudski. Janusz Jędrzejewicz. Wyd. ks. „Ogniwo“.

Antysemityzm i Robotnicy J. B. Marchlewski. Wyd. „Książka“. Cena 7 m.

Zjazd działaczy samorządowych P. P. S. Wyd. Centr. Wyd. Samorz. Cena 6 mk.

Filozofja Nieba. K. Chyliński. Wyd. Księgarni „Ogniwo“, Sienkiewicza 6.

Zmierzch Ziemi. L. Różycki. Nakł. autora.

Do wszystkich prenumeratorów „Światła“.

Prosimy przesyłać należność za prenumeratę tylko zapomocą przekazów pocztowych, lub też czeków P. K. O., które na każde żądanie wysyła Administracja „Światła“. — Przesyłanie pieniędzy w listach utrudnia ogromnie ich odbiór z poczty, i przez to też spóźnia się ekspedycja pisma „Światło“.

HUMOR I SATYRA.



A nam się dobrze powodzi...

ADRES: REDAKCJI POLNA № 66, MIESZK. 54; ADMINISTRACJI WARECKA 7.

Redakcja otwarta codziennie od 5—6 wiecz. — Administracja czynna codziennie od 10—4 pp.

REDAKCJA: JAN HEMPEL, JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. Kierownik literacki ANDRZEJ STRUG. Kierownik art. JAN REMBOWSKI.